

DASHIELL HAMMETT

KRWAWA NAGRODA



FIKCJE I FAKTY 7/1987

- Jestem Tom - Tom Carey - powiedział, cedząc słowa.

Ruchem głowy wskazałem krzesło i przyjrzałem mu się uważnie.

Wysoki, szerokie bary, muskularna pierś - w sumie jakieś sto dziewięćdziesiąt funtów. Miał smagłą twarz, twardą jak pięść. Twarz czterdziestolatka, który wiódł awanturnicze życie i całkiem nieźle na tym wychodził. Nosił garnitur uszyty z dobrego materiału.

- Jestem bratem Paddy'ego „Meksykanina” - dodał, kiedy już wygodnie usadowił się na krześle.

Wyglądało na to, że mówi prawdę. Z wyglądu i manier gość podobny był do Paddy'ego.

- W takim razie twoje prawdziwe nazwisko brzmi Carrera - zauważyłem.

- Zgadza się - powiedział zapalając papierosa. - Alfredo Estanislao Cristobal Carrera, jeżeli interesują cię szczegóły.

Poprosiłem go, żeby przeliterował Estanislao, zapisałem nazwisko na kartce papieru, dopisałem „alias Tom-Tom Carey” i zawołałem Tommy'ego Hooda. Poleciłem mu, żeby sprawdził w archiwum jego teczkę.

- Podczas gdy twoi ludzie będą rozkopywać groby, pozwolisz, że powiem, co mnie tu sprowadza - wycedził Tom-Tom przez chmurę dymu.

- To przykre, że Paddy dostał w ten sposób - powiedziałem.

- Za bardzo wierzył w swoją spokojną starość - wyjaśnił brat nieboszczyka. - „Hombre”. To słowo do niego pasuje. Ostatni raz widziałem go cztery lata temu w San Francisco. Właśnie wracałem z pewnej ekspedycji... nieważne dokąd. W każdym razie byłem goły. W tym czasie Paddy stuknął jakiegoś faceta na piętnaście kawałków. Tego dnia miał jakieś spotkanie, na które nie chciał zabierać takiego szmalu. I dał mi te piętnaście tysięcy na przechowanie.

Tom-Tom Carey wydmuchnął chmurkę dymu i uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Taki był z niego „hombre” - ciągnął. - Wierzył każdemu, nawet własnemu bratu. Tego samego popołudnia wskoczyłem do pociągu na Wschodnie Wybrzeże. W Pittsburgu pewna dziewczyna pomogła mi wydać te piętnaście tysięcy. Jako popitkę lubiła whisky z mlekiem. Piłem to razem z nią, do chwili, kiedy w żołądku zrobił mi się twaróg. Za Papadopoulosa jest sto tysięcy nagrody, prawda?

- Plus sześć. Towarzystwa ubezpieczeniowe płacą stówkę, stowarzyszenia banków pięć, a miasto tysiąc.

Tom-Tom wrzucił niedopałek do spluwaczki i zapalił następnego.

- Przypuśćmy, że przyprowadzę tu Papadopoulosa - powiedział. - Kto jeszcze - oprócz znalazcy - uczestniczy w nagrodzie?

- Nikt z agencji - zapewniłem. - Ani nikt z ludzi przez agencję wynajętych. Jeżeli ktoś z policji weźmie udział w aresztowaniu, to dostanie swoją dolę.

- Ale jeżeli nie weźmie, to wszystko moje?

- Jeżeli złapiesz go bez niczyjej pomocy, lub tylko z naszą.

- No to załatwione - powiedział niedbale. - Tyle jeżeli chodzi o aresztowanie. Przejdźmy do spraw dochodzeniowych. Jeżeli przyniosę go zapakowanego w worek, to czy na pewno możecie przybić go do krzyża?

- Raczej tak, chociaż na rozprawie wszystko może się zdarzyć.

Opalona, muskularna ręka, w której trzymał papierosa, wykonała niedbały gest.

- W takim razie lepiej będzie, jeżeli wyduszę od niego pisemne przyznanie się do winy - powiedział od niechcenia.

- Tak będzie lepiej. Powinieneś opuścić kaburę o jakiś cal lub dwa. Kolba jest zbyt wysoka i kiedy siadasz, wypycha marynarkę.

- Racja. Masz na myśli tę pod lewym ramieniem? Zabrałem ją jednemu gościowi, kiedy moją diabli wzięli. Szelki są za krótkie. Dziś po południu postaram się o nowe.

Do pokoju wszedł Tommy. W rękę trzymał teczkę z napisem „Carey, Tom-Tom, 1361 - TAJ”. W środku były wycinki prasowe, najstarsze datowane dziesięć lat temu, najnowsze sprzed ośmiu miesięcy. Czytałem je po kolei, podając potem smagłemu mężczyźnie. Tom-Tom Carey opisany był tam jako najemnik, handlarz bronią, łowca fok, przemysłowiec i pirat. Wszystkie informacje obfitowały w takie słowa jak: prawdopodobnie, zapewne itp. Kilkakrotnie był aresztowany, ale nigdy nic mu nie udowodniono.

- Dziennikarze zawsze mnie krzywdzili - poskarżył się spokojnie, kiedy już wszystko przeczytaliśmy. - Na przykład ta kradzież chińskiej dzonki z ładunkiem broni to nie była moja wina. Zmuszono mnie do tego. To ja byłem oszukany. Dostarczyłem towar na pokład, a oni nie chcieli za niego zapłacić. Broni nie mogłem już wyładować. Odebrałem więc swój towar i przy okazji łódź. Towarzystwa ubezpieczeniowe muszą się strasznie bać tego Papadopoulosa, jeżeli dają taką nagrodę.

- Na pewno im się to opłaci, jeżeli pomoże go złapać - powiedziałem. - Być może nie wszystkie informacje na jego temat w prasie są prawdziwe, ale to na pewno nie byle kto. Zorganizował sobie całą armię silnoręcznych, opanował dużą część finansowego centrum miasta, obrabował dwa największe banki, spokojnie się wycofał, zostawił na łodzi swoją armię, skłonił kilkunastu swoich kumpli do zlikwidowania innych - to wtedy dostał Paddy - a potem z pomocą Pogy'ego Reeve'a, Wielkiej Flory Brace i Reda O'Leary zlikwidował resztę. A pamiętaj, że ta reszta to nie byle kto; byli tam tacy kanciarze jak „Ostryga” Vance, Kid „Trzęsionka” czy Darby MacLaughlin.

- Tak czy inaczej, to była kłapa. - Carey nie wyglądał na wstrząśniętego. - Odzyskaliście szmal, a kurdupel musiał zwiewać.

- Nie miał szczęścia - wyjaśniłem. - Wszystko zepsuł Red O'Leary przez swoją pychę i miłość do Nancy Reagan. Nie można o to winić Papadopoulosa. Nie myśl sobie, że to jakiś przygłup. Jest niebezpieczny i nie dziwię się chłopakom z ubezpieczeń, że chcą go mieć pod kluczem.

- Niewiele wiesz o Papadopoulosie, co?

- Fakt - przyznałem. - I nikt nie wie. Sto tysięcy nagrody poszczuło na niego ferajnę z połowy kraju. Chcą go dostać tak samo jak my. Nie tylko z powodu pieniędzy. Chcą się z nim policzyć za ten numer po skoku. Wiedzą o nim tyle co my. Wiedzą, że maczał palce w tuzinie lub więcej napadów, że planował wszystkie większe skoki „Ostrygi” Vance'a i że jego wrogowie mają zwyczaj umierać młodo. Ale nikt nie wie, skąd pochodzi i gdzie ma swoje meliny. Nie myśl sobie tylko, że mam go za Napoleona zbrodni lub geniusza z dodatku niedzielnego. To po prostu stary, szczywany lis. Jak powiedziałeś, niewiele o nim wiemy - ale to samo mogę powiedzieć o wielu ludziach.

Tom-Tom Carey skinął głową na znak, że zrozumiał ostatnią sentencję, i zaczął skręcać trzeciego papierosa.

- O tym, że Paddy zarobił kulkę, dostałem cynk od Angel Grace prawie miesiąc temu - powiedział. - Byłem wtedy w Nogales. Myślała, że zaraz tu przylecę, ale to wszystko niewiele mnie ruszyło. Do czasu, kiedy przeczytałem o nagrodzie za Papadopoulosa. To jego właśnie Angel obwiniała o śmierć Paddy'ego. To już była różnica. Różnica na około sto tysięcy dolarów. Przypłynąłem więc do Frisco, pogadałem z nią i zjawiłem się tutaj, żeby się upewnić, że nic nie stoi pomiędzy mną a pieniędzmi.

- Angel Grace przysłała cię do mnie? - zdziwiłem się.

- Uhm. Tylko że ona o tym nie wiedziała. Wspomniała tylko o tobie. Powiedziała, że byłeś kumplem Paddy'ego, niezłym chłopem jak na glinę i że jesteś strasznie cięty na tego Papadoodle. Pomyślałem więc, że jesteś facetem, z którym powinienem się spotkać.

- Kiedy wyjechałeś z Nogales?

- W zeszły wtorek.

- To znaczy - policzyłem w pamięci - w dzień po zamordowaniu Newhalla.

Smagły mężczyzna spokojnie skinął głową. Jeżeli spodziewałem się, że po twarzy przebiegnie mu nerwowy skurcz, to się zawiodłem.

- Jak daleko od Nogales zabito Newhalla? - zapytałem.

- Zastrzelili go jakieś sześćdziesiąt mil na południowy zachód od Nogales. Interesuje cię to?

- Nie bardzo. Po prostu pomyślałem sobie, że to dziwny zbieg okoliczności, że opuściłeś miejsce zbrodni w dzień po morderstwie i przyjechałeś akurat do miasta, w którym mieszkał. Znałeś go osobiście?

- Ktoś mi go pokazał w Nogales. Wiem tylko, że był milionerem i przyjechał z San Francisco w towarzystwie kilku osób, żeby obejrzeć jakieś kopalnie w Meksyku. Pomyślałem, że może trafię go na parę centów, ale ubiegli mnie meksykańscy patrioci.

- I wtedy pojechałeś na północ?

- Uhm. Ta cała awantura pomieszała mi trochę szyki. Miałem nad granicą mały, ładny interesik. Powiedzmy - dostawy przez granicę. Śmierć Newhalla skierowała powszechną uwagę na tę okolicę. Pomyślałem więc, że pojedę zainkasować te sto tysięcy, a w tym czasie sytuacja nieco się uspokoi. Jeżeli myślisz, że go zamordowałem, to przysięgam ci, że nie zabiłem milionera już od tygodni.

- Ciesz się tym. Jak rozumiem, liczysz na nagrodę za Papadopoulosa. Angel Grace dała ci cynk, myśląc, że będziesz się mścił za śmierć brata. Tobie jednak chodzi tylko o nagrodę, więc będziesz się bawił i z Angel, i ze mną.

- Racja.

- Czy wiesz, co się stanie, jeżeli ona dowie się, że idziemy rączka w rączkę?

- Uhm. Dostanie padaczki. Jest trochę stuknięta na punkcie kontaktów z policją.

- Ktoś jej naopowiadał historyjek o kodeksie honorowym złodziei, a ona w to uwierzyła. Jej braciszek siedzi w pudle, bo zakapował go Johnny „Hydraulik”. Jej facet, Paddy, dostał kulkę od swoich kumpli. Czy to ją czegoś nauczyło? Nic z tych rzeczy. Woląaby puścić Papadopoulosa wolno, niż zamienić ze mną dwa słowa.

- Nie ma powodu do obaw - uspokoił mnie Carey. - Ona święcie wierzy, że jestem lojalnym braciszkiem Paddy'ego. Chyba nie mówił jej dużo na mój temat. Śledzicie ją?

- Od momentu, kiedy została zwolniona z aresztu. Dostała się tam razem z Florą, Pogym i Redem. Nie mieliśmy jednak na nią nic, oprócz tego, że była kochanką Paddy'ego. A to nie jest przecież karalne. No i puściłem ją wolno. Powiedziała ci coś ciekawego o sprawie?

- Dostałem od niej opis Papadopoulosa i Nancy Reagan. A propos, jak do tego pasuje ta Reagan?

- W ogóle nie pasuje. Była dziewczyną Reda. Cały plan Papadopoulosa rozbił się o jej randkę z O'Learym. Zwiewając, Grek zabrał ją ze sobą. Nie mam pojęcia dlaczego.

Tom-Tom Carey zapalił czwartego papierosa. Wstał.

- To jak? Gramy w jednej drużynie? - zapytał, sięgając po kapelusz.

- Jeżeli dostaniesz Papadopoulosa, to moja w tym głowa, żeby wpadło ci każde pięć centów, do których masz prawo - odparłem. - Daję ci wolną rękę i nie będę ci się za bardzo wtrącał do roboty.

Powiedział, że w porządku. Zostawił mi adres hotelu przy Ellis Street i wyszedł z biura.

Tego samego popołudnia zadzwoniłem do biura Taylora Newhalla. Powiedziano mi, że więcej informacji o interesach milionera powinienem otrzymać w jego wiejskiej rezydencji, kilka mil na południe od San Francisco. Zadzwoniłem tam. Ministerialny głos, który przyznał się, że należy do kamerdynera, oznajmił, że powinienem skontaktować się z prawnikiem pana Newhalla, Franklinem Ellerthem.

Pojechałem do jego kancelarii.

Okazał się małym, irytującym staruszkiem. Sepleniał, a nadmierne ciśnienie krwi niezna-

cznie wysadzało mu oczy.

- Czy są jakieś podstawy do przypuszczenia, że Newhall wcale nie został zastrzelony przez meksykańskich bandytów podczas incydentu na granicy? Może ktoś go zabił z premedytacją? - zapytałem.

Prawnicy nie lubią, kiedy zadaje im się pytania. Ten prawnik zabełkotał i wytrzeszczył oczy jeszcze bardziej. Oczywiście nie udzielił odpowiedzi.

- Jak? W jaki sposób? Niech pan łaskawie wytłumaczy - zaseplenił.

Gapił się na mnie i bezładnie przerzucał papiery leżące na biurku, tak jakby szukał policyjnego gwizdka.

Opowiedziałem mu o Tom-Tomie Careyu.

- Co pan peses to rozumie? - zabełkotał jeszcze mniej wyraźnie i zrobił na biurku kompletny bałagan.

- Nic przez to nie rozumiem - warknąłem. - Po prostu opowiadam panu o faktach.

- Tak! Tak! Wiem! - Przestał gapić się na mnie, a jego głos stał się mniej opryskliwy. - Rozumie pan, że nie ma żadnych powodów do takich podejrzeń. Żadnych, plosę pana!

- Może ma pan rację. - Skierowałem się do drzwi. - Ale pogrzebię jeszcze trochę w tej sprawie.

- Chwileckę, chwileckę! - Zerwał się z krzesła i obleciał biurko dookoła. - Myślę, że pan się myli, ale jeżeli chciałby pan zbadać tę splawę, to plosę poinformować mnie o wynikach. Najlepiej będzie, jeżeli obciąży mnie pan częściowymi kosztami poszukiwań i stale będzie informować o postępach śledztwa. Cy to pana satysfakcjonuje?

Odparłem, że tak i z powrotem usiadłem na krześle. Maglowałem go przez jakieś pół godziny. Powiedział mi, że w interesach Newhalla nie było nic podejrzanego. Zmarły był multimilionerem. Większość kapitału ulokował w kopalniach. Nie przeprowadzał podejrzanych transakcji. Nie miał wrogów. Był wdowcem. Opiekował się jedyną córką. Wyglądało na to, że ją rozpieszczał. Do Meksyku wyjechał z grupą nowojorskich ekspertów górniczych. Miał zamiar kupić jedną z kopalń w północnym Meksyku. Tuż po przekroczeniu granicy grupa została zaatakowana przez bandytów. Atak odparto, ale Newhall i jeden z geologów nazwiskiem Parker zginęli.

Wróciłem do biura i wysłałem telegram do filii agencji w Los Angeles. Poprosiłem o wysłanie jednego z wywiadowców do Nogales. Chciałem, żeby z bliska przyjrzał się interesom Tom-Toma Careya i ewentualnym ich powiązaniom ze śmiercią Newhalla. Kiedy dawałem tekst depeszy do zakodowania, wezwał mnie szef. Wszedłem do jego gabinetu i zostałem przedstawiony niskiemu, pulchnemu mężczyźnie o nazwisku Hook.

- Pan Hook jest właścicielem restauracji w Sausalito - oznajmił szef. - W zeszły poniedziałek zatrudnił kelnerkę o nazwisku Nelly Riley. Powiedziała, że przyjechała z Los Angeles. Opis podany przez pana Hooka zgadza się z opisem Nancy Reagan. Prawda? - zwrócił się do tłuszciocha.

- Absolutnie - zgodził się skwapliwie. - Wypisz, wymaluj ta dziewczyna. Pięć stóp, pięć cali wzrostu. Zgrabna, niebieskie oczy i brązowe włosy. Około dwudziestu lat. Zadziera nosa. Nikt nie jest dla niej dostatecznie dobry. Kiedy chciałem się z nią trochę zaprzyjaźnić, powiedziała mi, że bym trzymał swoje „brudne łapy” z daleka. Potem okazało się, że w ogóle nie zna Los Angeles, chociaż mówiła, że spędziła tam kilka lat. Założę się, że to ta dziewczyna. - Sapnął i zaczął rozwódzić się o pieniądzech, które mu się należą za udzielenie informacji.

- Kiedy wraca pan do Sausalito? - zapytałem.

- Kupię tylko trochę naczyń i zaraz wracam.

- Czy ta dziewczyna będzie w restauracji?

- Tak.

- W takim razie wyślemy z panem wywiadowcę, który zna Nancy Reagan.

Zawołałem Jacka Counihana z pokoju wywiadowców i poznałem go z panem Hookiem.

Umówili się za pół godziny na przystani promu i Hook wyszedł.

- Wątpię, żeby to była Nancy Reagan - powiedziałem. - Ale nie możemy zmarnować żadnej szansy.

Opowiedziałem szefowi i Jackowi Counihanowi o Tom-Tomie i wizycie w kancelarii Ellertha. Szef słuchał z właściwą mu uprzejmością i spokojem. Natomiast młody Counihan - tylko cztery miesiące w branży - słuchał z szeroko otwartymi oczami. Wyszedłem razem z nim z gabinetu.

- Leć teraz na przystań promu - powiedziałem. - Jeżeli to będzie Nancy Reagan, łap ją i dzwoni do nas. - A ponieważ szef już nas nie słyszał, dodałem. - Tylko, na miłość boską, przez tę swoją galanterię nie pozwól sobie znowu przyładować sierpowym. Udawaj, że jesteś dorosły.

- Idź do diabła! - odburknął chłopak. Zarumienił się, poprawił krawat i wyszedł.

Miałem jeszcze do załatwienia trochę papierkowej roboty. Uporawszy się z raportami, oparłem stopy o krawędź biurka, z pustego pudełka po Fatimach zrobiłem popielniczkę i do szóstej po południu myślałem o Tom-Tomie Careyu. Potem zszedłem na dół, do Statesa, i zjadłem zupę rybną i stek. Pojechałem do domu, żeby przebrać się przed wyjściem na kolację z pokerem.

Stałem już w drzwiach, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałem głos Jacka Counihana.

- Jestem w Sausalito. Ta dziewczyna to nie Nancy Reagan, ale mam tu coś ciekawego. Możesz przyjechać?

- Czy to „coś” jest na tyle ważne, żeby odwołać pokera?

- Tak. Myślę, że to naprawdę coś ważnego. - Był wyraźnie podniecony. - Jestem chyba na tropie.

- Skąd dzwonisz?

- Z przystani promu. Ale nie przy Złotych Wrotach, tylko z tej drugiej.

- W porządku. Przyłpnę pierwszym promem.

Godzinę później wysiadłem z promu w Sausalito. Jack Counihan przepchnął się przez tłum i od razu zaczął mówić:

- Kiedy wracałem na przystań...

- Wstrzymaj się, dopóki nie będziemy sami - poradziłem mu. - To „coś” musiało być dla ciebie strasznym przeżyciem; lewy róg kołnierzyka wyraźnie ci się wygiął.

Machinalnie poprawił defekt swojej zazwyczaj nienaganej garderoby, ale był zbyt zaabsorbowany, by się uśmiechnąć.

- Tędy - powiedział, prowadząc mnie za róg. - Restauracja Hooka jest tuż obok. Możesz rzucić okiem na tę dziewczynę, jeżeli chcesz. Jest tego samego wzrostu i budowy co Nancy Reagan, ale to wszystko. Prawdopodobnie wywalili ją z poprzedniej knajpy za wrzucanie do zupy gumy do żucia.

- W porządku, to ją eliminuje. A teraz to „coś”.

- Kiedy już ją sobie obejrzałem, wróciłem na przystań. Byłem jakieś pięćset metrów od nabrzeża, kiedy przybił prom. Z pokładu zeszło dwóch pasażerów. Wyglądali na twardzieli, ale w zwykłych warunkach nie zwróciłbym na nich uwagi. To byli Grecy, raczej młodzi. Papadopoulos też jest Grekiem, więc przyjrzałem się im uważniej. Szli obok siebie i o coś się spierali. Kiedy przechodzili obok mnie, jeden z nich powiedział: „Mówiłem ci, że to już dwadzieścia dziewięć dni...” Dwadzieścia dziewięć dni! Szybko policzyłem i okazało się, że tyle czasu upłynęło od chwili rozpoczęcia poszukiwań Papadopoulosa. On jest Grekiem i ci faceci też. Śledziłem ich przez całe miasto, aż na wzgórzu. Weszli tam do małego domku - miał najwyżej trzy pokoje. Na trawniku przed wejściem sterczała tabliczka „Na sprzedaż”. W oknach nie było zasłon. Wokół żywego ducha. Ale przy tylnym wyjściu znalazłem na ziemi

wilgotną plamę, jakby ktoś wylał wiadro wody.

Poczekalem w krzakach obok, aż się ściemni. Wtedy podszedłem bliżej. Usłyszałem jakieś głosy, ale przez okno nie zobaczyłem nikogo. Po jakimś czasie wyszło dwóch facetów, na odchodnym mówiąc coś do trzeciego, w języku, którego nie rozumiałem. Drzwi domku pozostały otwarte aż do chwili, kiedy obaj faceci zniknęli za drzwiami, więc nie mogłem ich śledzić.

Wtedy drzwi zamknęły się. Po chwili usłyszałem brzęk naczyń, a z komina wyleciało trochę dymu. Czekałem jeszcze długo, ale nic więcej się nie wydarzyło. Pomyślałem więc, że zadzwonię do ciebie.

- Interesujące - zgodziłem się.

Przechodziliśmy obok latarni. Jack zatrzymał się i wyciągnął coś zza pazuchy.

- Patrz!

W rękę trzymał nadpalony kawałek niebieskiego materiału. Mogła to być pozostałość po damskim kapeluszu. Wyjąłem latarkę kieszonkową.

- Znalazłem to na ziemi koło domku - powiedział Jack. - A...

- A taki właśnie kapelusz miała Nancy Reagan tej nocy, kiedy zniknęła z Papadopoulosem - dokończyłem za niego. - Idziemy do tego domku!

Wspięliśmy się na wzgórze, zesliśmy w małą dolinkę, a potem ze stromej, piaszczystej ścieżki skręciliśmy w las. Niecałą milę dalej Jack wyprowadził mnie poprzez gąszcz krzewów i drzewek na wąską dróżkę. Miałem nadzieję, że wie, dokąd idziemy.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - wyszeptał.

Zza krzaka wyskoczył jakiś człowiek i chwycił mnie za kark.

Ręce trzymałem w kieszeniach płaszcza - jedną ścisnąłem rewolwer, a drugą latarkę.

Wycelowałem w napastnika poprzez materiał płaszcza i pociągnąłem za spust.

Wystrzał zniszczył płaszcz wart siedemdziesiąt pięć dolarów. Ale facet nie trzymał mnie już za kark.

I całe szczęście, bo kolejny facet wskoczył mi na plecy.

Chciałem jakoś oderwać się od niego, ale nie za bardzo mi się to udało. Poczułem, jak ostrze noża ześlizguje mi się po kręgosłupie. „Całe szczęście” zakrawałoby w tym wypadku na przesadę, ale lepsze to, niż dostać cios po rękkojeść.

Wyszarpnąłem rękę z kieszeni i wyrwałem mu się.

Ostrze błysnęło mi przed oczami. Złapałem rękę trzymającą nóż i runąłem na ziemię. Gość znalazł się pod spodem.

- Oooch! - wystękał.

Przeturlałem się na bok i zerwałem na nogi. Musnęła mnie czyjaś pięść.

Ktoś złapał mnie za kostkę.

Nie zachowałem się jak przystało na dzentelmena. Obróciłem się na pięcie i kopnąłem z całej siły. Kopniak doszedł celu. Kopnąłem jeszcze raz. Mocno.

Z ciemności dobiegł mnie głos Jacka. Nie widziałem ani jego, ani człowieka, którego postrzeliłem.

- U mnie w porządku - powiedziałem. - A jak u ciebie?

- Doskonale. Czy to już wszystko?

- Nie wiem. Zobaczymy, co tu mamy.

Oświetliłem latarką twarz człowieka leżącego na ziemi. Szczupła sylwetka. Jasne włosy, teraz zalane krwią. Wyraźnie starał się udawać oszołomionego.

- Tylko bez wygłupów! - przestrzegłem.

Z krzaków odezwał się jakiś duży kaliber, a zaraz potem inny, mniejszy. Kule bzyknęły wśród liści.

Zgasiłem latarkę, pochyliłem się nad facetem i ogłuszyłem go kolbą rewolweru.

- Schył się - wyszeptałem do Jacka.

Mniejszy kaliber znowu odezwał się dwukrotnie, gdzieś przed nami, po lewej stronie.

Przysunąłem się bliżej Jacka.

- Pójdziemy do tego pieprzonego domku, czy to się komuś podoba, czy nie. Trzymaj tyłek nisko i nie ciągnij za spust, dopóki nie będziesz wiedział, do czego strzelasz. Naprzód!

Pochylając się jak najniżej, ruszyłem w ciemność. Pozycja, w której się znajdowałem, napinała mi skórę na plecach. Czułem, jak krew powoli spływa mi na biodro - a przynajmniej tak mi się zdawało.

Było zbyt ciemno, żeby poruszać się bezszelestnie. Gałęzie trzeszczały nam pod nogami, a mijane krzewy szeleściły głośno. Nasi przyjaciele w krzakach kilkakrotnie użyli broni. Na szczęście strzelanie na słuch jest średnio skuteczne. Kule przelatowały tu i ówdzie, ale żadnej z nich nie zatrzymaliśmy.

Wyszliśmy na skraj lasu, gdzie ciemność zjaśniała o jeden odcień.

- To ten domek - powiedział Jack, wskazując kanciasty kształt przed nami.

- No to biegiem - mruknąłem i ruszyliśmy z kopyta.

Zza ciemnej plamy budynku wysunęła się sylwetka człowieka z bronią w ręku. Zaczął strzelać tak szybko, że detonacje zlały się w jeden przeciągły grzmot.

Pociągając za sobą chłopaka, rzuciłem się na ziemię. Wylądowałem w zasadzie płasko, z wyjątkiem twarzy, która zatrzymała się na wyszczerbionej puszcze po konserwach.

Z drugiej strony budynku odezwała się kolejna spluwa. Zza drzewa po lewej trzecia. My też zaczęliśmy spalać proch.

Jedna z kul zaryła w ziemię tuż przed moją twarzą. Połknąłem trochę piasku. Wyplułem kamyk i zwróciłem się do Jacka:

- Strzelasz trochę za wysoko. Lufa niżej i delikatnie ze spustem.

Na tle budynku pojawiła się przygarbiona postać.

Posłałem jej kulkę.

- Ohooo! - rozległ się wrzask, a potem trochę ciszej: - A żeby cię...

Przez kilka gorących sekund padał na nas deszcz kul. Potem zapanowała cisza.

Leżałem nieruchomo jeszcze przez pięć minut. W końcu oderwałem głowę od ziemi i na czworakach zacząłem posuwać się naprzód. Po kilku metrach miałem dość. Teren nie za bardzo nadawał się do takich ćwiczeń. Wstałem. Resztę drogi przebyliśmy w pozycji pionowej.

- Poczekaj tu - szepnąłem do Jacka i obszedłem domek dookoła. Żywego ducha.

Drzwi frontowe były zamknięte, ale nie wyglądały zbyt solidnie. Z całych sił uderzyłem w nie barkiem. Odskoczyły na bok, a ja wskoczyłem do środka. W jednej ręce rewolwer, w drugiej latarka.

Domek był pusty.

Nikogo. Żadnych mebli. Nic - tylko gołe ściany z drewna i pusta podłoga. Z pustego sufitu sterczała rura od piecyka. Staliśmy na środku pustego pokoju, gapiliśmy się w tę pustkę i lżyliśmy domek, tak jakby to była jego wina. Jeszcze nie skończyliśmy litanii, a tu na zewnątrz rozległy się odgłosy kroków. Biały snop światła zalał drzwi wejściowe i jakiś ochrypliły głos krzyknął:

- Hej tam! Wychodzić! Pojedynczo i powoli!

- A wy kto? - zapytałem i zgasilem latarkę.

- Cała chmara zastępców szeryfa - odpowiedział zachrypnięty głos.

- Może jeden z was wejdzie do środka, żebyśmy mogli go sobie obejrzeć? - zaproponowałem. - Dziś wieczorem tak wielu ludzi strzelało do mnie i cięło mnie nożami, że straciłem wrodzoną ufność.

W drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna o pociągłej, surowej twarzy. Pokazał nam odznakę szeryfa, a my jemu nasze licencje. Do środka weszła reszta chmary, w liczbie dwóch.

- Jechaliśmy drogą do Sausalito, kiedy usłyszeliśmy strzały - wyjaśnił wysoki. - O co tu

chodzi?

Powiedziałem mu.

- Ten domek jest nie zamieszkały już od bardzo dawna - stwierdził, kiedy skończyłem.
- Każdy mógł tu zamieszkać. Myśleliście, że to Papadopoulos? Będziemy się za nim rozglądać, zwłaszcza że czeka za niego taka miła nagroda.

Przeszukaliśmy las, ale nie znaleźliśmy żadnych śladów. Człowiek, którego ogłuszyłem, i ten, którego postrzeliłem, zniknęli.

Do Sausalito podwieźli nas zastępcy szeryfa. Obudziłem miejscowego doktora, który zabandażował mi plecy. Cięcie okazało się długie, ale płytkie. Wróciliśmy do San Francisco i każdy z nas udał się do siebie.

I tak zakończył się ten miły dzień.

Opowiem teraz o czymś, co zdarzyło się następnego ranka. Usłyszałem o tym przed południem, a reszty dowiedziałem się z popołudniówek. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że wiadomość ta może mnie zainteresować osobiście.

Opowiem więc, co się stało.

O dziesiątej rano na zatłoczoną Market Street wszedł chwiejnym krokiem mężczyzna. Był nagi, poczawszy od zlepionych krwią włosów, aż po skąpane w niej nogi. Z ramion, pleców i boków zwisały mu zakrwawione paski przeciętej skóry. Lewą rękę miał złamaną w dwóch miejscach, a prawą stronę głowy zmiażdżoną. W godzinę później człowiek ten zmarł w miejskim szpitalu. Nie odezwał się do nikogo ani słowem, a w oczach przez cały czas miał to samo, nieobecne spojrzenie.

Ślady krwi na chodniku zaprowadziły policję do kałuży krwi na zapleczu małego hotelu przy Market Street. Otworzono pokój, z którego skoczył, lub został wyrzucony, ów mężczyzna. Łóżko było nasiąknięte krwią jak gąbka. Na podłodze leżały skrecone i powiązane w supły prześcieradła. Obok łóżka znaleziono ręcznik użyty w charakterze knebla.

Dochodzenie wykazało, że mężczyzna został związany, zakneblowany i pocięty nożem. Po wyjściu oprawcy, ofiara wyzwoliła się z więzów i prawdopodobnie tracąc z bólu zmysły, wyskoczyła lub wypadła z okna. Upadek spowodował pęknięcie czaszki i złamanie ręki. Mężczyzna zdołał przejść jeszcze dwie przecznice.

Kierownik hotelu zeznał, że mężczyzna mieszkał tam od dwóch dni. Do księgi meldunkowej wpisał się jako H. F. Barrows. Oprócz rzeczy osobistych, takich jak przybory do golenia, ubrania i torba podróżna, policja znalazła paczkę naboju kaliber 0,38, wehianą czapkę z wyciętymi otworami na oczy, komplet wytrychów, mały łom oraz sporą ilość morfiny i strzykawki. Znaleziono również rewolwer 38 Special i dwie butelki alkoholu.

Nie znaleziono żadnych pieniędzy.

Policja podejrzewała, że Barrows był włamywaczem, a zastrzelili go kumple. Nikt nic o nim nie wiedział. Personel nie zauważył, żeby przyjmował gości. Pokój z lewej był nie zamieszkały. Mieszkaniec pokoju po drugiej stronie wyszedł o siódmej rano do pracy w fabryce mebli.

Ja tymczasem siedziałem sobie w biurze i przeglądałem raporty ze wszystkich filii agencji. Zawierały bez wyjątku to samo: żadnych wiadomości o Papadopoulosie i Nancy Reagan. Zdążyłem się do tego przyzwyczaić - już od trzech tygodni nie czytałem nic innego.

Podczas lunchu opowiedziałem szefowi o wydarzeniach ostatniej nocy. Jego twarz dobrotliwego dziadka jak zawsze wykazywała uprzejme zainteresowanie. Jednak w pewnym momencie oderwał wzrok od mojej twarzy i aż do końca opowieści wpatrywał się w sałatkę jarzynową. Gdy już uporałem się z moimi wspomnieniami, nie odrywając wzroku od jedzenia powiedział, że przykro mu z powodu rany na plecach. Podziękowałem za troskę i przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

Wreszcie spojrzał na mnie.

- Pierwszy sygnał, że Papadopoulos wciąż żyje, nadszedł bezpośrednio po wizycie Tom-Toma Careya.

Tym razem to ja spuściłem wzrok.

- Tak - odparłem i złamałem bułkę.

Tego samego popołudnia do agencji zadzwoniła pewna kobieta z Mission, która była świadkiem wysoce tajemniczych wydarzeń. Uważała, że mają one coś wspólnego z wielkim skokiem. Zmarnowałem całe popołudnie, żeby przekonać się, że połowa jej spowiedzi to bajki, a reszta to gadki zazdrosnej żony, obliczone na uzyskanie informacji o prowadzeniu się męża.

Kiedy wróciłem do agencji, dochodziła szosta wieczorem. Kilka minut później zadzwonił Dick Foley. Szczękał zębami tak, że ledwo mogłem zrozumieć, co do mnie mówi.

- Czczczc-mmm-oooo-żżżesz-pp-ssz-y-jj-echać-dddooo-sszz-ppp-i-ttt-a-ll-ahh-aaa-rrbb-ooo-uu-rrr?

Dopiero gdy powtórzył ten bełkot raz jeszcze, zrozumiałem, że prosił mnie o przyjazd do szpitala Harbour.

Powiedziałem, że przyjadę za dziesięć minut i dzięki taksówce nawet mi się to udało.

Mały Kanadyjczyk czekał na mnie przed wejściem do szpitala. Był przemoczony do suchej nitki, ale zdążył już sobie strzelić szklaneczkę whisky. Przestał dzwonić zębami.

- Ta kretynka skoczyła do zatoki! - warknął na mnie, tak jakby to była moja wina.

- Angel Grace?

- A za kim niby chodziłem? Wlazła na prom do Oakland. Przechyliła się przez reling. Myślałem, że coś wyrzuci. Podszedłem bliżej. Nagle bęc! Skoczyła. A ja, jak ostatni idiota, za nią. Utrzymałem ją na powierzchni. Wyłowili nas i przywieźli tutaj. - Dick ruchem głowy wskazał szpital.

- Co robiła przedtem?

- Nic. Cały dzień w knajpie. Potem na prom.

- A wczoraj?

- W swoim pokoju do wieczora. Potem wyszła z jakimś facetem. Wróciła o czwartej. Nie dało rady pójść za nim.

- Jak wyglądał ten facet?

Opis Dicka pasował do Tom-Toma Careya.

- W porządku - powiedziałem. - Teraz zjeżdżaj do domu, przebierz się i strzel sobie kielicha.

Wszedłem do szpitala.

Leżała w łóżku na wznak i wpatrywała się w sufit. Była blada, ale nic w tym dziwnego, zawsze taka była. Zielone oczy spoglądały z tym samym wyrazem powagi co zawsze. Jedynym szczegółem odbiegającym od normy były mokre włosy.

- Pewnie myślisz o samych zabawnych rzeczach - odezwałem się, siadając na krześle przy łóżku.

Podskoczyła. Rozpoznała mnie w jednej chwili i jej poważną twarz rozjaśnił uśmiech.

- Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Zawsze tak się skradasz? Kto ci powiedział, że tu jestem? - zapytała.

- Wszyscy o tym wiedzą. Twoje zdjęcia ozdabiają pierwsze strony gazet, obok historii twojego życia i relacji ze spotkaniem z księciem Walii.

Przestała się uśmiechać i przyjrzała mi się badawczo.

- Już wiem! - wykrzyknęła po chwili. - Ten mikrus, który skoczył za mną do wody! To jeden z twoich ludzi, prawda?

- Ktoś za tobą skoczył? - zdziwiłem się. - Wydawało mi się, że sama przepłynęłaś zatokę.

Nie uśmiechnęła się. Jej twarz skurczyła się, jakby na wspomnienie jakichś okropności.
- Dlaczego wyciągnęliście mnie z tej wody? - zapytała ze skargą w głosie. - Nie mam ochoty żyć dłużej na tym parszywym świecie.

Pochyliłem się nad nią i poklepałem ją po ręce.

- O co chodzi, Angel? - zapytałem. - Dlaczego chciałaś umrzeć?

Sam się zdziwiłem moim ojcowskim tonem.

Jej oczy zabłyśły. Słowa, które chciała z siebie wyrzucić, wprawiły w drżenie mięśnie jej twarzy. Ale na tym się skończyło.

- Nie. Ja jestem złodziejką, a ty gliną. Stoisz po drugiej stronie barykady. Nikt nie powie...

- Już dobrze, dobrze! - poddałem się. - Na miłość boską! Tylko nie rób mi znowu wykładu z etyki. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie, nic.

- Nie masz mi nic do powiedzenia?

Potrząsnęła głową.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Ktoś za mną chodzi, prawda? To dlatego tak szybko tu przyjechałeś.

- Jestem detektywem. Wiem wszystko. Baw się dobrze.

Po wyjściu ze szpitala pojechałem na komendę. Za biurkiem szefa wydziału śledczego siedział porucznik Duff. Opowiedziałem mu o kąpielni Angel Grace.

- Domyślasz się, o co jej chodziło? - zapytał, kiedy skończyłem.

- Nie. Chcę, żebyś ją zamknął.

- Tak? Myślałem, że chcesz jej użyć jako przynęty.

- To już nic nie da. Chcę ją zapuszkować na miesiąc. Razem z Florą, która czeka na proces. Angel wie, że Flora była w paczce, która sprzątnęła Paddy'ego. Jest szansa, że Flora nie zna Angel. Zajrzemy do nich po trzydziestu dniach i zobaczymy, co się urodziło.

- Da się zrobić. Angel Grace nie ma udokumentowanego źródła utrzymania. Wsadzimy ją za włóczęgostwo. Dam znać komu trzeba.

Wyszedłem z komendy i po pół godzinie znalazłem się w hotelu przy Ellis Street, gdzie zatrzymał się Tom-Tom Carey. Nie było go w pokoju. Zostawiłem w recepcji wiadomość, że będę za godzinę, i poszedłem coś zjeść. Kiedy wróciłem, Tom-Tom czekał na mnie w hallu. Poszliśmy na górę do jego pokoju. Carey postawił na stole butelkę ginu, sok pomarańczowy i cygara.

- Widziałeś się z Angel Grace? - zapytałem.

- Tak. Wczoraj w nocy. Popłakaliśmy sobie trochę.

- A dzisiaj?

- Nie.

- Skoczyła z promu do zatoki.

- Nie może być.

Nie był specjalnie zdziwiony.

- Ktoś ją wyłowił. Jest cała i zdrowa.

Coś jakby cień rozczarowania przemknęło mu po twarzy.

- Dziwna sprawa z tą dziewczyną - zauważył. - Nie mówię, że Paddy miał zły gust, ale ona jest chyba lekko stuknięta.

- Jak leci w sprawie Papadopoulosa?

- Nie najgorzej. Martwi mnie tylko to, że nie dotrzymałeś słowa. Obiecałeś, że nie będziesz mnie śledzić.

- Nie jestem szefem agencji - wyjaśniłem. - Czasami moje zamiary nie do końca podobają się staremu. Ale nie podejmuj się. Chyba jakoś sobie poradzisz z tym gościem, który łązi

za tobą?

- Uhm. Właśnie sobie radzę. Ale powoli nudzi mnie wskakiwanie i wyskakiwanie z taksówek i uciekanie przez podwórka.

Pogadaliśmy jeszcze przez kilka minut, wypiliśmy po jednym i wyszedłem z hotelu. Ze sklepu za rogiem zadzwoniłem do Dicka Foleya i podałem mu rysopis Tom-Toma.

- Nie chcę, żebyś za nim chodził. Chcę tylko, żebyś dowiedział się, kto usiłuje go śledzić, i poszedł za tym ptaszkiem. Nie musisz się spieszyć. Starczy jak zaczniesz jutro rano. Będziesz miał czas dobrze wyschnąć.

Następnego dnia rano pogoda była fatalna. Może to właśnie przez nią, a może dlatego, że poprzedniego dnia byłem za bardzo ruchliwy, rana na plecach bolała mnie niczym długi na stopę czyrak. Zadzwoniłem do doktora Canovy, mojego sąsiada z dołu, żeby obejrzał mi plecy. Zdjął bandaż i powiedział, że przez najbliższe kilka dni powinienem na siebie uważać. Po zabiegach doktora poczułem się lepiej, ale nie na tyle, żeby pojechać do agencji. Zadzwoniłem do szefa i powiedziałem, że zostanę w domu, chyba że zdarzy się coś nadzwyczajnego.

Spędziłem cały dzień przy podrabianym kominku na gaz, paląc papierosy i czytając jakieś piśmidła. Podzwoniłem po znajomych i zorganizowałem nocnego pokera. Przez cały wieczór trafiłem piętnaście dolarów, czyli o pięć za mało, żeby zwrócić się za wypitą przez gości gorzałkę.

Następnego dnia pogoda była lepsza i rana też mi mniej dokuczała. Wyszedłem do agencji. Na biurku znalazłem wiadomość, że Duff zamknął Angel Grace na trzydzieści dni. Obok leżała znajoma sterta doniesień z filii agencji na temat wyników poszukiwań Papadopolosa i Nancy Reagan. Były zerowe.

Do pokoju wszedł Dick Foley.

- Namierzyłem go - zameldował. - Około trzydziestki. Pięć stóp, sześć cali. Siedemdziesiąt kilo wagi. Rudy blondyn. Wąska twarz. Szczur. Mieszka w domu noclegowym przy Siódmej Ulicy.

- Co robił?

- Szedł za Careyem przez dwie przecznice. Carey zgubił go. Facet biegał przez chwilę bez sensu i wrócił do domu. Mam za nim znowu chodzić?

- Idź do domu noclegowego i dowiedz się, kto to taki.

Mały Kanadyjczyk wrócił za pół godziny.

- Sam Arlie - powiedział. - Mieszka tam od sześciu miesięcy. Z zawodu podobno fryzjer... jeżeli chce mu się pracować.

- Mam dwa przeczucia jeżeli chodzi o tego Arlie - zauważyłem. - Pierwsze, że to on mnie ciałnął nożem w Sausalito, a drugie, że coś mu się niedługo przydarzy.

Dick nie skomentował tego. Nie miał zwyczaju marnować słów.

Zadzwoniłem do Tom-Toma Careya i zaprosiłem go do agencji.

- Jak tylko ubiorę się i zjem śniadanie - obiecał.

Odłożyłem słuchawkę.

- Kiedy Carey wyjdzie ode mnie, idź za nim - powiedziałem Dickowi. - Jeżeli Arlie znowu będzie go śledził, coś może mu się przytrafić. Postaraj się zobaczyć co.

Dick wyszedł.

Zadzwoniłem do wydziału śledczego komendy i umówiłem się z sierżantem Huntem na wizytę w mieszkaniu Angel Grace. Potem zająłem się robotą papierkową. W kilka minut później przyszedł Carey. Usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

- Ten cwaniaczek, który za tobą chodzi, to niejaki Arlie, z zawodu fryzjer. Mieszka przy Siódmej Ulicy - poinformowałem go.

- Zgadza się. Pociągła twarz, rudawe włosy?

- Tak.

- Wiesz coś więcej na jego temat? - zapytał.

- Nie.

- Przymknęliście Angel Grace.

Nie było to ani pytanie, ani oskarżenie, więc się nie odezwałem.

- W samą porę - ciągnął. - I tak chciałem się jej pozbyć. Przez swoją głupotę mogłaby zepsuć numer, który zaplanowałem.

- Na kiedy go zaplanowałeś?

- To zależy. - Wstał, ziewnął i przeciągnął się. - Ale zapewniam cię, że jeżeli ktoś ślubował, że nie tknie jedzenia, dopóki nie złapię Papadopoulosa, to na pewno nie umrze z głodu. Nie powinienem posądzać cię o ten numer ze śledzeniem.

- Jakoś to przeżyłem.

- No to cześć - powiedział Tom-Tom i niespiesznie wyszedł z biura.

Złapałem Hunta i pojechaliśmy razem do mieszkania Angel Grace. Mieszkała przy Bush Street. Właścicielka kamienicy - mocno wyperfumowana tłusta kobieta - wiedziała już, że jej lokatorka siedzi w kiciu. Ochoczo zaprowadziła nas do pokoju dziewczyny.

Angel nie była dobrą gospodynią. W zlewie piętrzyła się sterta brudnych talerzy. Ciuchy, bielizna i szczegóły damskiego ekwipunku zajmowały każdy cal powierzchni od kuchni po łazienkę.

Pozbyliśmy się naszej przewodniczki i dokładnie obszukaliśmy mieszkanie. Po jakimś czasie wiedzieliśmy już wszystko na temat garderoby Angel i sporo o jej zwyczajach. Ale nie znaleźliśmy niczego, co by nas przybliżyło do Papadopoulosa.

O trzeciej rano telefon oderwał mnie od poduszki. Dzwonił mały Kanadyjczyk.

- Arlie załatwiony - powiedział.

- Spoczywa w spokoju?

- Tak.

- Jak?

- Ołów.

- Nasz człowiek?

- Tak.

- Popilnujesz do rana?

- Tak.

- Zobaczymy się w biurze - obiecałem i odwróciłem się na drugi bok.

Następnego dnia przyszedłem do agencji o dziesiątej rano. Jeden z urzędników kończył właśnie rozszyfrowywanie depechy od naszego agenta z Los Angeles, którego wysłałem do Nogales. Był to właściwie plik depech.

Nasz człowiek podawał, że Tom-Tom Carey jest bardzo dobrze znany w rejonie przygranicznym. Przez ostatnie pół roku zajmował się przemytem broni do Meksyku. W drodze powrotnej do Stanów zabierał alkohol, imigrantów i prawdopodobnie narkotyki.

Tuż przed wyjazdem do San Francisco, Tom-Tom Carey żywo interesował się niejakim Hankiem Barrowsem. Rysopis Barrowsa pasował jak ulał do H. F. Barrowsa, którego pocięto na paski, zanim wypadł przez okno hotelu przy Ellis Street.

Agent z Los Angeles oprócz życiorysu nie dowiedział się niczego na temat Barrowsa. Na granicy spędził tylko kilka dni i wrócił do San Francisco. W sprawie śmierci Newhalla nie wypłynęło nic nowego. Wszystko wskazywało na to, że zginął podczas strzelaniny.

Kiedy czytałem raport, do biura wszedł Dick Foley. Usiadł i opowiedział o wydarzeniach ostatniej nocy.

- Poszedłem za nim do hotelu. Na rogu Arlie. Carey wszedł o ósmej do garażu. Samochód bez kierowcy. Do hotelu. Wymeldował się. Dwie walizki. Pojechał przez park. Arlie za nim w jakimś gruchocie. Ja za Arlie. Ciemna uliczka. Arlie bliżej Careya. Strzał! Carey stanął. Strzelił dwa razy. Arlie do nieba. Carey do hotelu Marquis. Zameldował się jako

George F. Damby z San Diego. Pokój 622.

- Czy Tom-Tom zrewidował Arlie'go?

- Nie. Nawet go nie dotknął.

- Weź ze sobą Mickeya Linehana i jedź do Marquis. Nie możecie zgubić Tom-Toma.

Wieczorem wyślę wam zmienników. Carey musi być pilnowany dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Opowiedziałem szefowi historię Dicka.

- Według tego, co mówi Foley, Arlie strzelał pierwszy. Tom-Tom użył broni w obronie własnej. Nareszcie coś się dzieje, dlatego wolałbym zachować informacje o tej strzelaninie tylko dla nas, przez kilka dni. Szeryf raczej nas za to nie polubi, ale myślę, że warto zaryzykować.

- Jak chcesz - zgodził się szef i sięgnął po słuchawkę telefonu.

W tym momencie rozległ się dzwonek. Szef rozmawiał przez chwilę i podał mi słuchawkę. Dzwonił Hunt z komendy.

- Dziś o świcie z aresztu uciekły Flora Brace i Angel Grace Cardigan. Przypuszczamy, że...

- Szczegóły później - przerwałem mu. - Macie jakiś ślad?

- Na razie nie, ale...

- Dobra. Powiesz mi, jak się zobaczymy. Dzięki za cynk.

Odwiesiłem słuchawkę.

- Angel Grace i Wielka Flora uciekły z aresztu - poinformowałem szefa.

Uśmiechnął się grzecznie, jakby sprawa bezpośrednio go nie dotyczyła.

- Cieszysz się, że wreszcie coś się dzieje - mruknął.

- Tak, oczywiście. - Postarałem się przekształcić mimikę twarzy z grymasu w uśmiech i wróciłem do swojego gabinetu. Zadzwoiłem do Franklina Ellertha - sepleniącego adwokata. Powiedział, że chciałby się ze mną widzieć. Pojechałem do niego.

- Jakie postępy pan poczynił? - zapytał niecierpliwie, kiedy zająłem fotel naprzeciwko jego biurka.

- Nie najgorsze. Człowiek o nazwisku Barrows był w Nogales w tym samym czasie, kiedy Newhall został zabity. Wkrótce potem przyjechał do San Francisco. Carey pojechał za nim. Czytał pan o człowieku, który spacerował nago, pocięty na paski?

- Tak.

- To właśnie był Barrows. W tym czasie do gry włącza się inny mężczyzna: fryzjer o nazwisku Arlie. Szpieguje Careya. Dziś w nocy w pustej uliczce, niedaleko stąd, Arlie strzelił do Careya. Nie miał jednak szczęścia. Carey strzelił celniej.

Oczy starego prawnika wysunęły się o cal.

- Na jakiej ulicy? - sapnął.

- Chce pan znać nazwę?

- Tak!

Przysunąłem sobie telefon, zadzwoniłem do agencji i poprosiłem o przeczytanie raportu Dicka Foleya, po czym przekazałem tę informację adwokatowi.

Efekt był nadzwyczajny. Staruszek wyskoczył w górę, tak jakby na krześle leżała pinezka. Zmarszczki zaświeciły mu się od potu.

- Panna Newhall jest tam sama! Ta uliczka jest tuż obok jej domu!

Ruszyłem szarymi komórkami, ale nie dostrzegłem w tym fackie nic niepokojącego.

- Jeżeli to pana tak bardzo niepokoi, mogę przysłać pannie Newhall jednego z agentów jako obstawę - zaproponowałem.

- Doskonale! - Twarz wygładziła mu się tak, że nie zostało więcej niż sześćdziesiąt czy pięćdziesiąt zmarszczek. - Panna Newhall nie cuje się najlepiej, wciąż jest w żałobie po ojcu.

Wyśle pan właściwego człowieka?

- W porównaniu z nim twierdza Gibraltaru to listek na wietrze.

- Niech pan napisze pannie Newhall kilka słów rekomendacji dla mojego agenta. Nazywa się Andrew MacElroy.

Podczas gdy adwokat pisał liścik, skorzystałem raz jeszcze z telefonu i zadzwoniłem do agencji. Poleciałem dyżurnemu złapać Andy'ego i powiedzieć mu, że mam dla niego robotę. Zjadłem lunch i pojechałem do biura. Andy już czekał.

Wyglądał jak głaz narzutowy. Nie był zbyt wysoki, ale ciężkiej budowy. Ponury i skwaszony; za grosz wyobraźni. Wątpię, czy umiał czytać i pisać. Ale jednego byłem pewien: jeżeli Andy miał coś zrobić, to robił dokładnie to, co mu kazano, i nic ponadto. Nie przychodziło mu do głowy, że mógłby coś dodać od siebie.

Dałem mu notatkę od prawnika dla panny Newhall, powiedziałem gdzie ma pójść i co zrobić. W ten sposób kłopoty panny Newhall miałem z głowy.

Tego popołudnia Mickey Linehan i Dick Foley trzykrotnie dzwonili do agencji. Tom-Tom Carey nie robił nic nadzwyczajnego. Kupił tylko dwa pudełka amunicji kaliber 44, w sklepie sportowym przy Market Street.

Na pierwszych stronach popołudniówek widniały zdjęcia Wielkiej Flory i Angel Grace oraz historia ich ucieczki z aresztu. Artykuł był równie zbliżony do prawdy, co większość tego typu publikacji. Na jednej z dalszych stron zobaczyłem notatkę o trupie fryzjera znalezionym w wyludnionej uliczce, z czterema kulami w piersi i głowie. Oficjalna wersja wydarzenia, według biura szeryfa, głosiła, że Arlie został zastrzelony przez bandytów podczas napadu. Prawdopodobnie stawiał opór.

O piątej po południu do agencji przyszedł Carey.

- Cześć - powiedział. Usiadł w fotelu i zrobił sobie skręta. - Robisz coś ważnego dziś wieczorem?

- Nic specjalnego. Wydajesz przyjęcie?

- Uhm. Coś w tym stylu. To będzie mała niespodzianka dla Papadoodle. Wybierzesz się?

- Uhm - mruknąłem.

- Bądź o jedenastej na rogu Van Ness i Geary. Gości będzie niewielu. Tylko ja i ty. I on - wycedził.

- Nie. Będzie jeszcze jeden gość. Przyjdzie ze mną.

- Nie podoba mi się to. - Tom-Tom Carey potrzęsnał głową i skrzywił się uprzejmie. - Gliny nie powinny mieć przewagi liczebnej. Sprawiedliwie byłoby jeden na jednego.

- Nikt nie będzie miał przewagi liczebnej. Ten facet, którego zabieram, nie będzie po niczyjej stronie. Patrz mu na ręce. Ja też to będę robił.

- Nie rozumiem. Skoro mu nie ufasz, to po cholere wleczymy go ze sobą?

- Wyższa strategia.

Smagły mężczyzna znów się skrzywił. Tym razem mniej uprzejmie.

- Sto sześć tysięcy dolarów. Nie mam zamiaru dzielić tego z nikim.

- Bez obaw. Nikt nie będzie dobierał się do twoich pieniędzy - zapewniłem go.

- Trzymam cię za słowo. Mamy patrzeć mu na ręce, tak?

- Tak będzie najlepiej.

- A jeżeli po drodze zacznie się stawiać? Uspokoimy go, czy tylko pogrozimy paluszkami?

- To zależy od ciebie.

- No to w porządku. O jedenastej na rogu Van Ness i Geary.

Smagła twarz wyraźnie się rozpogodziła.

Kiedy wszedłem do pokoju detektywów, Jack Counihan siedział rozwalony w fotelu i

czytał jakieś pismo.

- Mam nadzieję, że masz dla mnie coś do roboty. Od tego siedzenia robią mi się odleżyny - poskarżył się.

- Cierpliwości synu, cierpliwości. Jeżeli chcesz zostać dobrym detektywem, musisz się tego nauczyć. Pamiętam, kiedy zaczynałem pracować w agencji jako dzieciak w twoim wieku, to miałem szczęście...

- Błagam cię, nie zaczynaj tego od początku. Nie rozumiem, dlaczego trzymasz mnie w kojcu? - zapytał. - Jestem jedynym oprócz ciebie detektywem, który z bliska przyjrzał się Nancy Reagan. Powinienem chyba jej szukać?

- To samo powiedziałem szefowi - odparłem współczująco. - Ale on powiedział, że boi się ciebie stracić. Twierdzi, że przez pięćdziesiąt lat pracy w tej branży nie widział tak przystojnego tajniaka, a na dodatek dandysa, uwodziciela i spadkobiercę milionów. Ma zamiar trzymać cię tu jako eksponat i nie pozwoli, żeby...

- Idź do diabła! - powiedział Jack i zaczerwienił się po korzonki włosów.

- Ubłagałem jednak starego, żeby na dzisiejszą noc zdjąć z ciebie pokrowiec - ciągnąłem. - Spotkamy się o jedenastej, na roku Van Ness i Geary.

Aż zadrżał z podniecenia.

- Akcja?

- Może.

- Co będziemy robić?

- Weź ze sobą swojego straszaka.

W tym momencie przyszła mi do głowy pewna myśl.

- Ubierz się tak jak na kolację.

- Smoking?

- Wszystko oprócz cylindra. A teraz uważaj: nie będziesz zachowywać się jak tajniak. Nie mam na razie pojęcia, jak masz się zachowywać, ale to nie ma większego znaczenia. Będzie z nami Tom-Tom Carey. Udawaj, że nie jesteś moim kumplem. Zachowuj się tak, jakbyś nikomu z nas nie ufał. Będziemy ci docinać. Jeżeli Carey zapyta cię o coś, a ty nie będziesz wiedział jak odpowiedzieć, udawaj wrogość. Ale nie przesadz z tym. Kapujesz?

- Myślę, że tak - odpowiedział powoli, drapiąc się w czoło. - Mam udawać, że łączą nas tylko interesy i nie za bardzo ci ufam.

- O to chodzi. Uważaj na każde słowo i gest. Będziesz cały czas siedział na beczce prochu.

- O co tu chodzi? Bądź kumplem i puść farbę.

Uśmiechnąłem się do niego. Był ode mnie o wiele wyższy.

- Powiedziałbym ci - odparłem. - Ale byś się przestraszył. Ciesz się życiem, póki jeszcze możesz. Zjedz dobry obiad. Wielu skazańców zjada na śniadanie solidną jajecnicę na szynce, zanim powędrują pod szubienicę. Wiem, że nie lubisz jajecznicy na obiad, ale...

Za pięć jedenasta podjechał czarny samochód. Za kierownicą siedział Tom-Tom Carey. Jack i ja staliśmy na rogu. Mgła otulała nas niczym wilgotne futro.

- Wskakujcie - rozkazał Carey.

Otworzyłem przednie drzwi i lekko popchnąłem Jacka. Ale on spojrzał na mnie chłodno i potrząsnął głową.

- Będę jechał z tyłu - powiedział szorstko. Dobrze wczuł się w swoją rolę.

- Niezły pomysł - zgodziłem się i usiadłem obok niego.

Tom-Tom obrócił się na przednim siedzeniu i przez chwilę patrzył badawczo w twarz Jacka. Nie przedstawiłem ich sobie. Kiedy Carey dokładnie obejrzał sobie twarz chłopaka, zajął się kołnierzykiem i krawatem. Spojrzał na mnie i wycedził:

- Twój kumpel to kelner, nie?

Roześmiałem się. Jack poczerwieniał z oburzenia i otworzył usta. Trąciłem go stopą. Zamknął usta i nic nie powiedział, za to spojrzał na nas jak na przedstawicieli niższych szczebli ewolucji.

- Czekamy na coś? - zapytałem Careya.

- Nie - odparł.

Przestał się gapić na Jacka i uruchomił silnik. Pojechaliśmy bulwarem przez park. We mgle powoli przesuwają się przyćmione światła reflektorów. Wyjechaliśmy z miasta. Mgła rzędła coraz bardziej, w końcu zniknęła. Na niebie pojawił się księżyc. Nie patrzyłem na jadące za nami samochody, ale wiedziałem, że w jednym z nich siedzą Dick Foley i Mickey Linehan.

Tom-Tom Carey zjechał z bulwaru i skręcił w wyludnioną o tej porze boczną drogę.

- Czy to nie tutaj zabito wczoraj w nocy jakiegoś faceta? - zapytałem.

Carey skinął głową.

- Dokładnie w tym miejscu - dodał, kiedy ujechaliśmy jeszcze jakieś pół kilometra.

Zwolniliśmy. Carey wyłączył światła. Jechaliśmy jeszcze około kilometra po drodze rozjaśnionej światłem księżyca. Wreszcie zatrzymaliśmy się w cieniu wysokiego krzewu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Tom-Tom Carey i wyszedł z samochodu. Poszliśmy w jego ślady. Carey zdjął płaszcz i wrzucił go do środka. - Dom jest zaraz za zakrętem, obok drogi. Żeby szlag trafił ten księżyc! Liczyłem na mgłę - powiedział.

Nie odezwałem się słowem. Jack z emocji był błydy jak ściana.

- Pójdziemy na skróty - powiedział Carey i przeszedł na drugą stronę drogi. Zaraz za poboczem stało ogrodzenie z drutu.

Tom-Tom pierwszy przeszedł przez druty, potem Jack, potem...

Nagle usłyszałem czyjeś kroki za zakrętem. Psyknąłem na swoich towarzyszy i skuliłem się za krzakiem. Kroki były szybkie i lekkie.

To była kobieta. W świetle księżyca przyjrzałem się jej dokładnie. Miała dwadzieścia kilka lat. Nie była ani wysoka, ani niska, ani chuda, ani pulchna. Ubrana była w krótką spódnicę i sweter. Nie miała kapelusza. Widać było, że jest przerażona, co nie przeszkadzało, że i tak była o wiele za ładna, jak na przyzwyczajenia tajniaka w średnim wieku.

Na widok ukrytego w cieniu samochodu Careya zatrzymała się jak wryta i wydała z siebie jęk, który był niemal krzykiem.

- Dobry wieczór, panno Reagan - powiedziałem i wyszedłem na środek drogi.

- Och, och! - Tym razem jęk był już krzykiem.

Światło księżyca oświetliło moją twarz. Rozpoznała mnie. Przerazenie powoli ustępowało z jej twarzy.

- No i co mam robić? - To głąz narzutowy wydał z siebie niedźwiedzi pomruk. - O co tu chodzi?

- Cześć, Andy - pozdrowiłem głąz.

- Cześć - odparł MacElroy i stanął w bezruchu.

Andy zawsze robił to co mu kazano, a kazano mu zaopiekować się panną Newhall. Spojrzałem na dziewczynę i z powrotem na niego.

- Czy to jest panna Newhall? - zapytałem.

- Tak - zadudnił. - Przyjechałem tu, tak jak mi kazałeś, ale ona powiedziała, że nie potrzebuje opieki. Nawet mnie nie wpuściła do środka. Nie kazałeś mi wracać, zostałem więc i ukryłem się w pobliżu. Kiedy przed chwilą zobaczyłem, że wychodzi z domu przez okno, poszedłem za nią, tak jak mi kazałeś.

Tom-Tom Carey i Jack wrócili na naszą stronę drogi. Smagły mężczyzna trzymał w ręku pistolet. Dziewczyna wpła się wzrokiem w moją twarz. Nie zwracała uwagi na resztę.

- Co tu się dzieje? - zapytałem ją.

- Nie wiem - wyszeptała, trzymając mnie za rękę. - Tak, naprawdę nazywam się Ann

Newhall. Myślałam, że to zabawa. Okazało się jednak, że wcale tak nie było, ale nie mogłam się z tego wycofać.

Tom-Tom chrząknął zniecierpliwiony. Jack Counihan opuścił wzrok na ziemię. Andy MacElroy stał obojętny jak skała, czekając na rozkazy. Dziewczyna nie odrywała wzroku od mojej twarzy.

- W jaki sposób wplątałaś się w to towarzystwo? - zapytałem. - Odpowiadaj, tylko szybko.

Kazałem jej się streszczać i tak też zrobiła. Przez dwadzieścia minut wyrzucała z siebie potoki słów, tamowane tylko moimi pytaniami. Opowiadanie było bezładne, miejscami niespójne, a miejscami niezbyt godne zaufania. Wyglądało na to, że dziewczyna mówi prawdę - a przynajmniej próbuje.

Podczas całej tej przemowy nie oderwała ode mnie wzroku nawet na ułamek sekundy, jakby bała się spojrzeć w inną stronę.

Nancy Reagan, alias Ann Newhall, wracała dwa miesiące temu z przyjęcia, w towarzystwie dwóch osób. Jeden z uczestników zaproponował, żeby wstąpić do knajpy przy drodze, oczywistej spelunki. Młodzi ludzie szukali emocji. Nie minęło dziesięć minut i już je mieli. Rozpoczęła się bójka. Partner dziewczyny okazał się wyjątkowym tchórzem. Pozwolił, żeby Red O'Leary przełożył go sobie przez kolano i wlepił mu kilka klapsów. Drugi z młodych ludzi nie okazał się odważniejszy. Dziewczyna poczuła się znieważona przez brak odwagi swojej eskorty, podeszła więc do giganta o rudych włosach, pogromcę jej eskorty, i zapytała wystarczająco głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli: „Czy mógłbyś mnie odprowadzić do domu?”

Red O'Leary z chęcią to uczynił. Pożegnała się z nim dwie przecznice przed swoim miejskim mieszkaniem. Przedstawiła mu się jako Nancy Reagan. Prawdopodobnie nie dał się na to nabrać, ale nie zadawał jej żadnych pytań. Mimo przepaści w statusie społecznym, która ich dzieliła, przypadli sobie do gustu. Podobał się jej. Był taki zadziorny i zuchwały, że wydawał się jej postacią z romantycznej sztuki. On zakochał się w niej po uszy.

Często się spotykali. Zabierał ją do wszystkich mordowni nad zatoką. Przedstawiał jej włamywaczy, rewolwerowców, kanciarzy. Opowiadał mrozące krew w żyłach opowieści z półświatka. Wiedziała, że to gangsterzy, wiedziała, że zamieszany był w skok na Bank Morski i Towarzystwo Akcyjne „Złote wrota”. Dla niej było to przedstawienie teatralne. Nie rozumiała, o co tu naprawdę chodzi.

Zrozumiała pewnej nocy, kiedy w knajpie Larrouy zostali zaatakowani przez bandytów wystawionych do wiatru. Ale było już za późno, żeby się z tego wycofać. Kiedy postrzeliłem rudowłosego olbrzyma, pojechała razem z nimi do kryjówki Papadopoulosa. Tam zobaczyła prawdziwe oblicze tych ludzi.

Kiedy Papadopoulos wymknął się z obławy zabierając ją ze sobą, myślała, że nic już jej nie grozi. Wzięła go za małego, przestraszonego człowieczka, niewolnika Flory, staruszka stojącego nad grobem. Był tak przerażony, że skamlał ze strachu. Błagał ją by go nie odpędzała, a po pomarszczonych policzkach spływały mu łzy. Zabrała więc Greka ze sobą do letniej rezydencji. Siedział cały dzień w ogrodzie, z dala od natrętnych oczu. Nie miała pojęcia, że on doskonale wie, kim ona jest naprawdę.

Wierzyła mu nawet potem, kiedy przeczytała w gazetach, że był mózgiem napadu i że wyznaczono sto sześć tysięcy dolarów za jego głowę. Przekonał ją, że to Red i Flora zrzucili na niego całą winę, licząc na łagodniejszy wyrok. Był taki stary i wystraszony. Któż by mu nie uwierzył?

A potem przyszła wiadomość o śmierci ojca w Meksyku i wyparła z jej umysłu wszystkie inne troski - aż do czasu, kiedy do rezydencji wtargnęły Wielka Flora i Angel Grace. Zawsze śmiertelnie bała się Wielkiej Flory. Teraz bała się jeszcze bardziej. Wkrótce okazało

się, że to Flora była niewolnikiem, a nie Papadopoulos. Zobaczyła prawdziwe oblicze staruszka. Ale to nie był jeszcze koniec odkryć.

W pewnej chwili Angel Grace usiłowała zabić Papadopoulosa, lecz Flora ją obezwładniła. Angel przyznała się, że była dziewczyną Paddy'ego.

- A ty, idiotko, nie wiesz, że ani zabili twojego ojca? - wrzasnęła do Ann Newhall. - Nie wiesz, że...?

Palce Flory zacisnęły się na gardle Angel i nie pozwoliły jej dokończyć zdania. Flora związała swoją ofiarę i zwróciła się do dziewczyny:

- Jedziesz z nami na jednym wózku - powiedziała szorstko. - Wpakowałaś się w to po uszy. Tak to wygląda, kochana. Stary i ja dostaniemy w czapę, jak nas złapią. Na nic nie będziemy się oglądać. Będziesz tańczyć tak, jak ci zagramy. Już ja tego dopilnuję. Jak będziesz grzeczna, to wszystko dobrze się skończy. Nie próbuj tylko żadnych sztuczek, bo wywrócę cię na lewą stronę.

Z tego, co działo się potem, dziewczyna niewiele zapamiętała. Jak przez mgłę przypomniała sobie wizytę Andy'ego i to, że kazała mu odejść. Flora, która stała obok niej za drzwiami, nie musiała nawet grozić jej bronią. Później, kiedy zapadł zmrok, Ann Newhall spuściła się z okna po winnej latorośli, porastającej ścianę domu, i uciekła drogą przed siebie. Nie biegła w żadnym konkretnym kierunku, po prostu uciekała od Flory.

Tyle dowiedziałem się od dziewczyny. Nie opowiedziała tego dosłownie w ten sposób, jak to przedstawiłem. W rzeczywistości wyrzucała z siebie pojedyncze wyrazy. Sposób, w jaki opowiadała, mimika twarzy, moja wiedza i przypuszczenia - wszystko to złożyło się na tę relację.

Ani przez moment nie oderwała wzroku od mojej twarzy. Wyglądało na to, że nie zdaje sobie sprawy z obecności Tom-Toma i Jacka. Odniosłem wrażenie, że obawiała się na nich spojrzeć. Trzymała mnie mocno za ręce, jakby spodziewała zapaść się pod ziemię.

- A co ze służbą? - zapytałem.

- Nie ma nikogo.

- Papadopoulos namówił cię do tego?

- Tak, kilka dni temu.

- Czyli w domu jest tylko Papadopoulos, Flora i Angel Grace?

- Tak.

- Czy wiedzą, że zwiłaś?

- Nie wiem. Nie sądzę. Długo siedziałam sama w pokoju. Chyba nie podejrzewają mnie o tyle determinacji.

Z pewnym rozdrażnieniem zauważyłem, że gapię się w jej oczy równie uporczywie, jak moje vis-à-vis. W końcu oderwałem od niej wzrok i uwolniłem się z uścisku rąk.

- Resztę powiesz mi potem - mruknąłem i zwróciłem się do Andy'ego: - Zostaniesz z panną Newhall, dopóki nie wrócimy. Rozgośćcie się w samochodzie.

Dziewczyna położyła dłoń na moim ramieniu.

- Czy...? Czy ty...?

- Tak. Przekażę cię w ręce policji - potwierdziłem.

- Nie! Tylko nie to!

- Nie bądź dzieckiem - poprosiłem. - Zadajesz się z bandą rzezimieszków, bierzesz udział w kilkunastu przestępstwach, a potem chciałabyś powiedzieć: „Bardzo mi przykro” i odejść do domu. Jeżeli opowiesz wszystko w sądzie - włączając w to tę część historii, której ja nie usłyszałem - jest szansa, że wyjdiesz z tego cało. Ale nie wymigasz się od aresztowania.

Podszedłem do Tom-Toma i Jacka.

- Musimy się pośpieszyć, jeżeli chcemy ich zastać w domu.

Przechodząc przez ogrodzenie obejrzałem się za siebie. Andy pakował właśnie dzie-

wczyne do samochodu.

- Poczekajcie chwilę - powiedziałem do swoich towarzyszy, którzy zaczęli iść przez pole.

- Znam lepsze sposoby na zabicie czasu - poskarżył się Tom-Tom Carey.

Wróciłem szybko do samochodu i nachyliłem się nad Andym.

- Gdzieś w pobliżu są Dick Foley i Mickey Linehan - powiedziałem cicho. - Poszukaj ich, jak tylko znikniemy ci z oczu. Przekaż pannę Newhall Dickowi. Powiedz mu, żeby zabrał ją do szeryfa. Ma tam czekać na przyjazd policji z San Francisco. Nikt inny nie może jej odebrać. Nawet ja. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem.

- W porządku. Jak już wszystko załatwisz, wracaj z Mickeyem Linehanem najszybciej jak tylko możecie. Bardzo prawdopodobne, że będziemy potrzebować pomocy.

- Tak jest.

- O co tu chodzi? - zapytał podejrzliwie Tom-Tom Carey, kiedy uporałem się z ogrodzeniem.

- Sekrety detektywów.

- Powinienem sam tu przyjechać i załatwić wszystko na własną rękę - narzekał. - Do tej pory tylko marnujesz mój czas.

- Nie ja go teraz marnuję.

Zachnął się i poszedł przed siebie. Jack i ja za nim. Po drugiej stronie pola pokonaliśmy drugi płot. Jeszcze tylko mały zagajnik i zobaczyliśmy rezydencję Newhallów. Wielki biały dom błyszczał w świetle księżyca. Kilka okien zasłoniętych żółtymi firankami połyskiwało na parterze. Reszta budynku pogrążona była w ciemnościach. Cisza.

- Żeby szlag trafił ten księżyc - powtórzył Tom-Tom. Wyciągnął z kieszeni drugi pistolet. Jack już chciał pójść w jego ślady, ale zobaczył, że ja się nie dozbrajam i dał sobie spokój.

Twarz Tom-Toma była jak maska wykuta z granitu; szparki oczu i szczelina ust. Ponura twarz łowcy ludzi, twarz zabójcy. Oddychał spokojnie, jego wielka klatka piersiowa poruszała się miarowo. Jack Counihan wyglądał przy nim jak podniecony uczeń. Dyszał jak pompka do roweru. Ale twarz wykrzywił mu autentyczny uśmiech.

- Podejdziemy do domu od tej strony - wyszeptalem. - Jeden z nas wejdzie od frontu, drugi od tyłu. Trzeci będzie czekał na rozwój wypadków. Zgoda?

- Zgoda - powiedział smagły.

- Chwileczkę! - wtrącił się Jack. - Dziewczyna zeszła na dół po winnej latorośli. Jeżeli nie zauważyli jej ucieczki, okno będzie wciąż otwarte. Jestem lżejszy od was. Dajcie mi dwieście minut na wejście do środka, a kiedy zaatakujecie, będę za ich plecami. Co wy na to?

Oczekiwał aplauzu.

- A co się stanie, jeżeli złapią cię w chwili, kiedy będziesz gramolił się przez parapet? - zapytałem.

- Nawet jeżeli mnie złapią, przez chwilę ich zajmę. W tym czasie wy wpadniecie do środka. Tak czy siak będzie dobrze.

- Do diabła z tym! - warknął Tom-Tom. - Po cholere te kombinacje?! Jeden od przodu, drugi od tyłu, spluwy w garść, kopniak w drzwi i do środka!

- Poczekaj chwilę - powiedziałem. - Plan Jacka nawet nie jest taki zły. Słuchaj Jack, jeżeli chcesz wskoczyć do jaskini lwów, to nie będę cię zatrzymywał.

- Nie - warknął Tom-Tom. - Nic z tego!

- Spróbujemy - powiedziałem. - Daję ci dwadzieścia minut, Jack. Potem wchodzimy.

Porównaliśmy czasy i chłopak poszedł w stronę domu. Tom-Tom spojrzął na nas spod łba i zastąpił mu drogę. Wszedłem pomiędzy nich i Jack pobiegł za moimi plecami przez

trawnik.

- Uspokój się - powiedziałem Careyowi. - W tej układance jest wiele klocków, o których nie masz pojęcia.

- Zbyt wiele - warknął.

Od strony frontu wszystkie okna były zamknięte. Jack zniknął za rogiem.

W krzakach obok coś cicho zaszeleściło. Carey odwrócił się błyskawicznie. Podbiłem mu rękę z pistoletem do góry.

- Tylko nie zemdlej - ostrzegłem go. - To jeszcze jeden klocek, o którym nie masz pojęcia.

Z krzaków wynurzyli się Mickey Linehan i Andy MacElroy. Tom-Tom zbliżył twarz do mojej tak blisko, że gdyby nie ogolił się tego dnia, na pewno by mnie podrapał.

- Ty oszukańczy...

- Spokojnie, spokojnie - powiedziałem. - Ci chłopcy nie chcą ani centa z twojej nagrody.

- Nie lubię takiego tłoku - mruknął. - Potrzebujemy tylko...

-Potrzebujemy posiłków - przerwałem mu i spojrzałem na zegarek.

- Co robimy? - zapytał Mickey Linehan.

- Podchodzimy do domu, tylko ostrożnie. We czwórkę powinniśmy sobie poradzić. Znacie rysopisy Papadopoulosa, Wielkiej Flory i Angel Grace. Wszyscy są w środku. Żadnych for. Flora i Papadopoulos to dynamit. Jack Counihan usiłuje wśliznąć się do środka przez okno na pierwszym piętrze. Wy dwaj wejdziecie od zaplecza. Ja i Carey od frontu. Nikt nie może się wymknąć. Naprzód!

Tom-Tom i ja podeszliśmy do ganka oplecionego winną latoroślą, przez którą prześwitywało żółte światło z okien parteru. Nie zdążyliśmy wejść na pierwszy stopień, kiedy nagle otworzyło się jedno z francuskich okien na parterze. Zobaczyłem plecy Jacka Counihana. Nie odwracając głowy otworzył okno.

Na wprost chłopaka stali staruszek i kobieta. Staruszek był pomarszczony jak suszona śliwka i wyglądał na przestraszonego. Jednym słowem - Papadopoulos. Zauważyłem, że zgolił białe, postrzępione wąsy. Kobieta była wysoką, atletycznie zbudowaną blondynką. Miała około czterdziestki. Grubo ciosane, ale regularne rysy twarzy - Wielka Flora. Oboje stali nieruchomo, ramię przy ramieniu. Wpatrywali się w muszkę pistoletu Jacka Counihana.

Kiedy patrzyłem na ten obrazek, Tom-Tom przeszedł obok mnie i stanął koło Jacka. Nie wszedłem do środka. Oczy Papadopoulosa z nienawiścią wpatrywały się w twarz smagłego mężczyzny.

- Nie ruszać się! - warknąłem i odszedłem w róg ganku, skąd miałem dobry przegląd sytuacji. Przechyliłem się przez balustradę ganku i spojrzałem w dół. Najciemniejszy punkt w cieniu ganka mógł być tylko sylwetką człowieka. Cień podszedł do balustrady. To był Mickey Linehan. Zza rogu wyłonił się Andy MacElroy. Skinałem na niego i dołączył do nas.

Podszedłem do okna.

Papadopoulos i Flora - królik i lwica - wciąż stali nieruchomo, wpatrując się w pistolety Jacka i Tom-Toma. Kiedy pojawiłem się w oknie, Flora spojrzała na mnie i uśmiech złagodził linię jej ust. Obok mnie pojawili się Mickey i Andy. Uśmiech Flory ulotnił się bez śladu.

Papadopoulos wrzasnął.

Flora rzuciła się na niego i popchnęła w stronę drzwi. Nie wiem, w jaki sposób w jej dłoniach pojawiły się pistolety. Wymierzyła broń w Jacka i Careya, zasłaniając sobą uciekającego Greka.

Złapałem Jacka za rękę.

- Nie strzelaj - powiedziałem.

Nagle ruszył Andy MacElroy. Oba pistolety Flory wypaliły równocześnie. Ale w chwili, kiedy pociągnęła za spusty, już leciała na ziemię, uderzona przez głaz narzutowy. W chwili

li, gdy walnęła o parkiet, do akcji włączył się Tom-Tom Carey.

Pierwsza kula przeszła tak blisko Flory, że obcięty kosmyk kędzierzawych blond włosów spadł na podłogę. Ale trafiła też w coś innego - w Papadopoulosa. Dostał w łędźwia. Uderzenie rzuciło go na parkiet.

Carey wystrzelił jeszcze raz... i jeszcze... i jeszcze. Nieruchome ciało podrygiwało za każdym strzałem.

- To nie ma sensu - powiedziałem. - Nie możesz go już bardziej zabić.

Zaśmiał się i opuścił pistolet.

- Sto sześć tysięcy podzielić na cztery. - Cały jego zły humor ulotnił się bez śladu. - To wychodzi dwadzieścia sześć tysięcy pięćset dolarów za każdą pestkę.

Andy i Mickey trzymali Florę za ramiona.

- To jeszcze nie koniec - powiedziałem do smąglego mężczyzny.

- Nie? - zdziwił się. - A co jeszcze?

- Zaraz się dowiesz, tylko miej oczy szeroko otwarte - odpartem półgłosem i odwróciłem się twarzą do Jacka. - Chodź ze mną.

Wyszliśmy na ganek. Chłopak stanął obok mnie. W dłoni wciąż trzymał pistolet. Twarz miał bladą jak ściana. Przebiegały po niej nerwowe skurcze zmęczenia. Patrząc przez jego ramię widziałem pokój. Na sofie siedzieli Mickey i Andy. Pomiędzy nimi Flora. Carey stał trochę z boku. Patrzył na nas z lekkim zdziwieniem. Nasze głosy nie były słyszane w pokoju, ale wszyscy widzieli nas jak na dłoni. O to właśnie mi chodziło.

- A teraz gadaj - rozkazałem Jackowi.

- No cóż, zobaczyłem, że okno jest otwarte... - zaczął chłopak.

- To wszystko wiem - przerwałem mu. - Wszedłeś do środka i powiedziałaś swoim przyjacielom - Florze i Papadopoulosowi - że dziewczyna uciekła, a pod domem stoi dwóch facetów z gnatami w rękach. Poradziłeś im, żeby udawali, że ich zaskoczyłeś. Z tobą za plecami nie mielibyśmy żadnych szans. Potem poszedłbyś do Andy'ego po Nancy Reagan. Plan był nawet niegłupi - nie wiedziałeś tylko, że mam jeszcze w rękawie Mickeya i Andy'ego... To wszystko już wiem. Nie wiem tylko, dlaczego mnie sprzedawałeś... i co teraz chcesz z tym zrobić?

- Oszalałeś! Czy to może jakiś...? - Wpatrywał się we mnie osłupiałym wzrokiem. W oczach zobaczyłem budzące się przerażenie.

- Jasne, że oszalałem - zgodziłem się. - Tylko szaleniec pozwoliłby się wciągnąć w zasadzkę w Sausalito. Ale tam właśnie skończyło się moje szaleństwo. Zauważyłem też, że Ann Newhall boi się na ciebie spojrzeć podczas naszej rozmowy na drodze. No i nie byłem na tyle szalony, żeby uwierzyć ci, że zaskoczyłeś Florę i Papadopoulosa. Owszem, bywam czasem szalony - ale bez przesady.

Jack roześmiał się beztrząsco, ale w jego głosie wyłowiłem nutę hysterii. Oczy nie śmiały mu się, kiedy spojrzał na mnie, potem na broń, którą trzymał w ręce, i z powrotem na mnie.

- Mów, Jack - powiedziałem ochryple, kładąc mu rękę na ramieniu. - Na miłość boską, dlaczego to zrobiłeś?

Chłopak zamknął oczy i głośno przełknął ślinę. Wzdrygnął się. Kiedy znowu spojrzał na mnie, w oczach błyszczała mu determinacja.

- Najgorsze jest to, że nie byłem nawet dobrym kanciarzem, co? - powiedział, zdejmując moją dłoń z ramienia.

Stałem w bezruchu.

- Myślę, że zasłużyłeś na wysłuchanie tej historii - ciągnął po krótkiej przerwie. Mówił monotonicznie, jakby obawiał się nawet przez sekundę okazać ślad emocji. - Spotkałem Ann Newhall trzy tygodnie temu, w moim domu. Chodziła do szkoły razem z moją siostrą, ale nigdy jej wcześniej nie widziałem. Rozpoznaliśmy się od razu. Ja wiedziałem, że to fałszywa

Nancy Reagan, a ona, że jestem tajniakiem z agencji. I... dogadaliśmy się. Pojechaliśmy razem do Papadopoulosa. Staruszek spodobał mi się, a i ja przypadłem mu do gustu. Opowiadał mi o bogactwach, które moglibyśmy razem zdobyć. Wizja tych pieniędzy zupełnie mnie oszłomiła. Jak tylko dowiedziałem się o poszukiwaniach Tom-Toma Careya, od razu mu o tym powiedziałem. Potem wciągnąłem cię w zasadzkę w Sausalito. Grek przekonał mnie, że trzeba cię usunąć, zanim odkryjesz jego powiązania z Ann Newhall. Ale zasadzka nie udała się. Nie ma nic bardziej głupiego od spartaczonego morderstwa. Ann Newhall nic o tym nie wiedziała. I tak to wygląda, drogi Sherlocku.

Przez cały czas udawałem, że słucham go z uwagą i współczuciem.

- Nie sprzedawaj mi takiego kitu! Papadopoulos nie kupiłby cię za pieniądze. Po prostu spotkałeś dziewczynę i byłeś zbyt miękki, żeby zaciągnąć ją na komisariat. A stary Grek domyślił się, że jesteś wystarczająco miękki, żeby stać się zabawką w jego ręku. Nie przegapił też twojej młodzieńczej pychy. Dał ci rolę w swojej sztuce. Rolę złodzieja dżentelmena, czarnego charakteru o manierach lorda. Jednym słowem: romantyczny śmietnik. Zrobiłeś wszystko, żeby uchronić dziewczynę od kicia. Zrobiłeś też więcej, niż było konieczne, żeby pokazać światu, a zwłaszcza sobie, że nie działałeś jak sentymentalny pajac, lecz zgodnie ze swoją beztróską naturą. No i zobacz, dokąd cię to zaprowadziło.

Nic nie odpowiedział. Tylko twarz powoli mu czerwieniała. Patrzył na drogę.

Spojrzałem na oświetlony pokój. Carey zrobił dwa kroki w stronę okna. Przyglądał się nam uważnie. Ostrzegłem go lekkim skinieniem głowy.

- No tak... - zaczął Jack. Unikał mojego spojrzenia.

Wyprostowałem się i zrzuciłem maskę udawanego współczucia.

- Oddaj broń, wszawy szcurze - warknąłem.

Szarpnął się, jakbym go uderzył. Twarz stężała mu w grymasie szaleństwa. Podniósł broń.

Ten ruch nie uszedł uwagi Tom-Toma. Strzelił dwa razy.

Jack Counihan leżał martwy u moich stóp.

Mickey Linehan wystrzelił tylko raz. Carey upadł na podłogę. Strużka krwi pocięła mu ze skroni.

Ominąłem ciało Jacka i wszedłem do pokoju. Przyklęknąłem przy Tom-Tomie Careyu. Chciał coś powiedzieć, wargi zadrżały mu kilkakrotnie, ale nie wykrztusił z siebie ani słowa. Był martwy. Musiałem przez chwilę poczekać, aż zapanuję nad mimiką twarzy. Dopiero potem wstałem.

Wielka Flora patrzyła na mnie w jakimś dziwnym skupieniu.

-Jeszcze wszystkiego nie rozumiem - zaczęła powoli. - Ale jeżeli ty...

- Gdzie jest Angel Grace? - przerwałem jej.

- W kuchni. Przywiązana do stołu - odparta, a potem dodała: - Myślę, że mógłbyś...

- Tak - powiedziałem cierpko. - Jestem drugim Papadopoulosem.

Na dźwięk tego nazwiska, ból przeszył jej twarz. Dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

Niech mnie diabli, jeżeli nie kochała tego starego łajdaka!

Do miasta wróciłem o ósmej rano. Zjadłem śniadanie i pojechałem do biura agencji. Szef przekopywał się właśnie przez poranną pocztę.

- Już po wszystkim - zakomunikowałem. - Papadopoulos wiedział, że Nancy Reagan jest spadkobierczynią Taylora Newhalla. Kiedy potrzebował kryjówki do skoku, zmusił dziewczynę, żeby go zabrała do letniej rezydencji. Miał na nią dwa haki: po pierwsze była zamieszana - nawet jeżeli nieświadomie - w napad, a po drugie uważała go za nieszkodliwego staruszka. Wkrótce potem stary Newhall wyjechał w interesach do Meksyku. Papadopoulosowi zaświtała genialna myśl. Jeżeli Newhall dostałby w czapę, córka odziedziczyłaby miliony, a Grek wiedziałby już, jak je od niej wyciągnąć. Wysłał za milionerem Barrowsa, a ten wy-

najął kilku bandytów. Wszystko poszło jak po maśle, ale Barrows miał za długi język. Powiedział po pijaku pewnej dziewczynie w Nogales, że musi „wpaść na chwilę do Frisco i zgarnąć kupę forsy od starego Greka”, a potem kupi jej cały świat. Dziewczyna dała cynk Tom-Tomowi Careyowi. Smagły cwaniak złożył do kupy wszystkie klocki i pojechał za Barrowssem do San Francisco. Razem z Angel Grace capnął go w hotelu. Chciał mieć pewność że „stary Grek” to Papadopoulos. Barrows był tak naszprycowany morfiną, że nawet nie rozumiał co się do niego mówi. Carey zdążył pokroić go na paski, zanim ten cokolwiek poczuł. Angel Grace pochorowała się od tego widoku. Próbowwała powstrzymać Careya, ale bez skutku. Uciekła z hotelu. Kiedy przeczytała w popołudniówkach, jak to się skończyło dla Barrowsa, usiłowała popełnić samobójstwo.

Carey wyciągnął wszystko od Barrowsa, ale w dalszym ciągu nie wiedział, gdzie zamieszkiwał się Papadopoulos. Jack Counihan dał cynk Grekowi o przyjeździe Careya, a ten nasłał na niego Arliego. Tom-Tom zaczął podejrzewać, że staruszek jest w rezydencji Newhallów. Pojechał więc w tym kierunku, zostawiając za sobą wyraźny ślad. Kiedy Arlie zorientował się, gdzie jadą, chciał go zatrzymać za wszelką cenę. Tylko tego chciał Carey. Załatwił Arlie'go, wrócił do miasta i następnego dnia zabrał mnie ze sobą, żeby zakończyć sprawę.

Tymczasem w areszcie Angel Grace zaprzyjaźniła się z Wielką Florą. Ta nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Papadopoulos zorganizował ucieczkę z aresztu. We dwójkę łatwiej zbiec, więc Flora zabrała ze sobą Angel Grace. Dziewczyna Paddy'ego chciała załatwić Greka, ale Flora była szybsza. Flora, Angel Grace i Ann Newhall alias Nancy Reagan są w areszcie - ciągnąłem. - Papadopoulos, Tom-Tom Carey i Jack Counihan nie żyją.

Bez pośpiechu wyciągnąłem papierosa. Szef wziął ze sterty list i nawet na niego nie spojrzawszy, rzucił na biurko.

- Zostali zabici w trakcie aresztowania? - W jego głosie nie dosłyszałem nic poza grzecznym zainteresowaniem.

- Tak. Papadopoulosa zastrzelił Carey. W kilka minut później zrobił to samo z Jackiem. Careya załatwił Mickey Linehan, który nie wiedział o niczym. - Nie mogłem składnie mówić. Słowa niczym spaghetti okręcały mi się wokół języka. - Ani Mickey Linehan, ani Andy MacElroy nie wiedzą, że Jack... nikt oprócz pana i mnie nie wie, jaką rolę odegrał tu Jack... oczywiście oprócz Flory Brace i Angel Grace, ale jeżeli powiemy, że działał za naszą wiedzą, nikt im nie uwierzy.

Szef skinął swoją głową dobrodusznego dziadka i uśmiechnął się, ale po raz pierwszy od czasu, gdy się poznaliśmy, wiedziałem, o czym myśli. Myślał, że gdyby Jack wyszedł z tego cało, stanęlibyśmy przed paskudną alternatywą: puścić go wolno, albo zhańbić dobre imię agencji ogłaszając, że jeden z jej agentów szedł ręką w rękę z bandytami.

Zgasilem papierosa i wstałem. Szef również podniósł się z krzesła i wyciągnął do mnie rękę.

- Dziękuję ci - powiedział.

Uścisnąłem jego dłoń. Nie miałem mu już nic do powiedzenia - nawet milcząc.

- Tak to już bywa - powiedziałem. - Rozdawałem karty i zgarniałem lewy, ale tak to jakoś wyszło.

Pokiwał głową i uśmiechnął się dobrotliwie.

- Wezmę kilka dni urlopu - dodałem po chwili.

Byłem skonany.

Przełożył KRZYSZTOF ADAMSKI